



Renata  
Piątkowska

# HEBANOWE SERCE

ilustracje:  
Maciej Szymanowicz

Renata Piątkowska  
**Hebanowe serce**

© by Renata Piątkowska  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Maciej Szymanowicz

Redakcja i korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie II**

**ISBN 978-83-7672-462-1**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2017  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
faks (42) 632 30 24  
www.wyd-literatura.com.pl

# Rozdział 1.

Wypłynęli nocą z niewielkiego portu Zuwara w Libii. Stara, wysłużona łódź, mogąca pomieścić najwyżej dwieście osób, była przepełniona. Na jej pokładzie tłoczyło się ponad trzystu ludzi. Byli wśród nich mężczyźni, kobiety i dzieci z Syrii, Erytrei i Nigerii. Siedzieli skuleni, jeden obok drugiego, a deski łodzi trzeszczały pod ich stopami.

Omenka przycupnęła koło mamy i trzymał ją kurczowo za rękę.

– Mamo, morze jest ogromne – szepnął jej do ucha.  
– Ciągłe się rusza i strasznie buja, raz w górę, raz w dół.

Mama przygarnęła malca do siebie. Rzeczywiście, wiatr wzmagał się z każdą chwilą, a łódź coraz mocniej kołysała się na falach. Ludzie trzymali się burty i wszystkiego, co dawało im jakieś oparcie. Drewniana łódź skrzypiała pod naporem fal, a gdy chwilami woda wdzierała się do środka, rozlegały się pełne strachu okrzyki i przekleństwa.

– Nie bój się. Wszystko będzie dobrze. Tylko obejmij mnie mocno i nie puszczaj – powiedziała mama, siląc się na spokój.

Nie chciała, by Omenka zauważył, jak bardzo jest wystraszona. Wszyscy wiedzieli, że najbezpieczniejsze miejsca to te na środku łodzi, skąd rzadziej wpadało się do wody. Ale ci, którzy chcieli tam siedzieć, musieli zapłacić dużo więcej. Mamie ledwie starczyło pieniędzy, żeby wejść na pokład i usadowić się z Omenką przy samej burcie. Wysokie fale sprawiały, że było tam bardzo niebezpiecznie. Przydałyby się kamizelki ratunkowe, ale za nie była dodatkowa opłata. Mało kto mógł sobie na nie pozwolić. Omenka i jego mama musieli obejść się bez nich. Na domiar złego rozpętała się burza i lunął deszcz. Ludzie na łodzi wpadli w popłoch. Zewsząd słychać było nawoływania pasażerów:

- Boże, ratuj!
- To już koniec!
- Ta łajba zaraz się rozleci!
- Wszyscy zginiemy!

I chrapliwy głos sternika:

– Spokój! Zamknijcie się! Wybierać wodę z łodzi, czym się da!

Tylko że nikt nie miał pod ręką wiadra czy choćby garnka. Ludzie łapali więc wodę w stulone dłonie i wylewali ją za burtę. A gdy pędzące z łoskotem fale obracały łodzią jak łupiną orzecha, przywierali do dna, modląc się i wzywając pomocy. Omenka drżał ze strachu, płakał i mocno zaciskał powieki. Czuł, jak morze unosi ich wysoko do góry, tak wysoko, że prawie dotykał



Nie było słychać żadnego  
krzyku, tylko nagłe milczenie  
obok Omenki zregbiło się  
P U S T E...

głową nieba, a potem zrzuca w dół, zalewając pokład lodowatą wodą.

– Mamo, boli mnie brzuch – poskarżył się. – Ja chyba zaraz...

Nie dokończył. Nie zdążył nawet odwrócić głowy i zwymiotował. Okropne skurcze żołądka zapowiadały kolejne torsje. Podobnie jak wielu innych pasażerów tej łodzi, chłopczyk nie radził sobie z chorobą morską. Ale nie to było najgorsze. Kiedy Omenka otarł usta i rozejrzał się dokoła, zorientował się, że Kainene, kobieta, która jeszcze przed chwilą siedziała tuż obok – zniknęła. To stało się w chwili, gdy nad łodzią przetaczała się kolejna fala. Nie było słyhać żadnego krzyku, tylko nagle miejsce obok Omenki zrobiło się puste. Po Kainene nie było śladu, a za burtą kotłowała się wielka, ciemna woda. Nic nie dało się zrobić.

Zanim nastał świt, do morza wpadło jeszcze kilka osób. Niektórzy rozpaczliwie próbowali złapać się ponownie łodzi, ale nie dali rady i zniknęli w otchłani.

## Rozdział 2.

Rankiem następnego dnia morze uspokoiło się. Ludzie na łodzi znowu uwierzyli, że im się uda, że dopłyną do celu. Słońce suszyło ich przemoknięte ubrania, a woda chlupotała za burtą, ale już nie próbowała wdrzeć się do środka.

– Napij się – mama podała Omence butelkę wody. – Ale tylko kilka łyków – dodała.

Wiadomo, wodę trzeba było oszczędzać, bo mieli ze sobą zaledwie dwie butelki. Sternik pozwolił zabrać na pokład jedynie niewielkie zapasy, żeby jeszcze bardziej nie obciążać i tak przeładowanej łodzi. Mama z jakiegoś tobołka wyjęła placek kukurydziany, odłamała kawałek i włożyła synkowi do ręki. Resztę zawinęła i schowała. Sama nie jadła.

– Czujesz się już lepiej, prawda? – spytała i pogładziła go po brzuszku.

Potem ułożyła głowę Omenki na swoich kolanach.

– Morze wreszcie się uspokoiło, odpocznij sobie – powiedziała i pocałowała go w powieki tak, że odruchowo musiał zamknąć oczy.



Wcale nie chciało mu się ich otwierać. Chyba zasnął, bo nagle znalazł się w swojej wiosce. Było tak, jakby nigdzie się z niej nie ruszał. Ukrył się w cieniu mango, który stał pośrodku wsi. Omenka bardzo lubił to ogromne, szeroko rozgałęzione drzewo, wokół którego na spalonej słońcem, piaszczystej ziemi przycupnęły ulepione z gliny domki. Na ich ścianach widać było niewyraźne ślady palców ludzi, którzy je stawiali. Dom Omenki nosił odciski dłoni jego taty. We śnie usłyszał stukot wiader, szuranie stawianych na piasku plastikowych baniaków i nawoływania dzieci. Jak każdego dnia o świcie, jeszcze w ciemności, dzieci wstały, by iść po wodę. Omenka pobiegł razem z nimi. W drodze do źródła chłopcy wygłupiali się i urządzali sobie wyścigi.

Ugwu jak zawsze chciał być pierwszy, ale Omenka też był szybki i zwinny. Kiedy udało mu się wyprzedzić kolegę, usłyszał za plecami:

– Żebyś przez całe życie miał wściekłą biegunkę! Ty i twoja rodzina!

Słyszając to życzenie, Omenka uśmiechnął się przez sen. Jak dobrze było ścigać się znowu z chłopakami i nabijać z dziewczyn, że zostają w tyle, bo mają nogi jak patyki. Omenka nie chciał się obudzić, nie chciał znaleźć się znów na dryfującej po morzu łodzi. Wolał biec ze wszystkimi do źródła i napełnić wodą większe i mniejsze plastikowe pojemniki. Później dzieci ustawiły je sobie na głowach i wspinały się po sybkim zboczu, ostrożnie, by nie uronić ani kropli. Wracały do domów powoli, uważnie stawiając stopy i starając się zachować równowagę. Gdy dotarły do wsi, słońce mocno już przygrzewało. Jego promienie migotały i połyskiwały na kołyszącej się w wiadrach wodzie.

– Woda! Woda! Przynieśli wodę! – słychać było okrzyki i chociaż Omenka śnił, widział wszystko jak na jawie. Młodsze dzieci i dorośli wyszli z chat. Teraz mogli umyć twarz, ale tak, by nie zmarnować zbyt dużo wody. A ona lubiła wymykać się z dłoni i przeciekać przez palce. Ręcznik w ogóle nie był potrzebny, bo słońce przypiekało i buzie obsychały w mig. Przyszła kolej na zęby. Omenka przesunął po nich językiem, ale to nie wystarczyło, więc tak jak inne dzieci urwał gałązkę

i rozgryzł jej koniec na miazgę. Powstał z tego jakby pędzelek, którym czyścił starannie zęby. Potem mama zrobiła herbatę. Czasami to musiało wystarczyć za całe śniadanie, ale tym razem Omenka dostał do herbaty kawałek kassawy\*. Połknął go w sekundę, choć wiedział, że następny posiłek będzie, w najlepszym razie, dopiero wieczorem. Bo na wsi nie jada się często. Bywa, że raz, czasem dwa razy dziennie. A w porze suchej nawet raz na dwa dni.



\* Kassawa – placek z bulw manioku, odpowiednika ziemniaka w naszej strefie klimatycznej.